Nr. 52. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 26. Grudnia 1846.*

Uboga kuzynka (dokończenie). — Leszek Drugi. — Dobrodzieniak. (Podanie szląskie). — Sermo Nuptialis copulae. (Wyjątek z dawnego rękopisma. — Do Czech. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Ruiny Teb w Karnak.

Uboga kuzynka.
(Dokończenie.)

„Jesteś chora?“ zapytała krótkim głosem wchodząca, stawiając lampkę na stolik, i siadając na krzesło w głowach choréj.

„Nie dobrze mi,“ odrzekła Julia.

„Chociaż Teodora nie widziałam, lecz myślę, że ci wszystko powiedział, żeś przecież co raz starsza a więc rozsądniejsza i dałaś odpowiedź jak należy.“

„Miałam tyle siły, iż powiedziałam mu: że choć się z inną ożeni, mnie już ta myśl nie zabije. Teraz się czuje nawet silniejszą — spokojniejszą.“

Hrabina poczerwieniała gniewem, niecierpliwie poprawiła się na stołku i wyrzekła z przyciskiem:

„Nie o tém to mowa, ale o wydaniu ciebie za mąż.“ Julia jakby zelektryzowana znalazła moc do podniesienia się, lecz osłabiona opadła plecami na ścianę.

„Więc ci Teodor o tém nie mówił?“

„Nie.“

„Słuchaj!“ mówiła ucinkowym głosem, „po twoich scenach z Teodorem musimy cię wydać za mąż, bo trudno, żeby żona chciała w dom jego przyjechać bez słusznéj obawy pozostania się tych awantur. Choć cię raz tylko widział Zakrzewicz, mydlarz, ale chce się z tobą żenić. Dostaniesz od nas wyprawę i o posagu nie zapomnimy — a to zresztą człowiek pracowity i zamożny; będziesz miała z nim chleb.“

„Litości! litości!“ krzyknęła Julia, bledsza nad śmierć: „i Teodor tego żąda?“

„Myśmy to uradzili!“

„Zostaw mi pani dzień — godzinę jednę — chwilkę, żebym o tém wątpić mogła. Jam nie przygotowana do téj męczarni.“

Nagle umilkła, pierś jéj poruszała się silném wzruszeniem, oczy słupem stanęły, bo ta myśl, jak piorun rozdarła powierzchnię fali i na raz ukazała jéj samo dno Teodora duszy. I potém zaczęła powtarzać przytłumionym, jakby podziemnym głosem:

„On więc kłamał, on mię nigdy nie kochał, on mię odrzuca z taką obojętnością, nawet wzgardą, jak przepalone cygaro z ust swoich. Boże mój! Boże mój! a jam go tak kochała.“

I splecione konwulsyjnie palce przycisnęła do skroni.

Hrabina przestraszona krzyczeniem jéj głosu, bladością i spojrzeniem, spiesznie się wynosiła z pokoju.

Julia się podniosła z łóżka, stanęła na środku pokoiku i przelękniona obzierała się w około, kiedy zaraz blade światło lampy oświetliło jéj w progu na pół przegiętą postać Teodora. Krzyknęła, załamała ręce i upadła na kolana. „Julio, co robisz?“ i przyskoczył do niéj, wpatrywał się w lica. Oczy dziewczyny zabłysły jaskrawo błędnym ognikiem, czoło połamało się w marszczki przerażenia — konwulsyjnie pochwyciła jego dłonie, i siłą nadzwyczajną ciągnęła go ku ziemi, szepcąc:

„Teodor mną gardzi, wydaję mię o tam za tego mydlarza — żeby mię się pozbyć, żebym moją miłością nie stała na zawadzie jego ożenienia. Widzisz, te myśli jak latają w około, jak się splotły w łańcuch i ściskają mi serce. Słyszysz je — o widzisz jak je trzymam w ściśniętych dłoniach.— „Wychodźmy!“ zawołała, tuląc się bojaźliwie do niego. On zadrżał, pobladł, wyrwał się z jéj rozpalonych dłoni, i wybiegł z pokoju. Rozległ się za nim śmiech głośny, przeciągły — jak tylko może wypaść z piersi, gdzie harmonia ducha złamana. Teodor zrozumiał, że dusza dziewczyny, rozciągnięta na torturach boleści, trzasła na koniec.

Wpadł do matki, krótkim, przytłumionym głosem powiedział, że Julia chora; wybiegł spiesznie, w stajni dosiadł konia i wyjeżdżał do domu. Kiedy weszli do Julii pokoju, spokojnie leżała na łóżku. Służące suche łzy otarły i na palcach wyszły z pokoju. W godzinę może przyszły zobaczyć, czy się nie przebudzi, czy czego nie potrzebuje, ale blade światło lampy padało na próżną pościel. Nadaremnie biegały po wszystkich zakątkach domu i ogrodu, a nakoniec wypytywały się po wsi. Tu ją widziano jak szła spiesznie, ale gdzie poszła, w którą stronę, nikt nie wiedział.

Bez rozkazu państwa słudzy dworscy rozbiegli się na wszystkie strony, bo serdecznie kochali i żałowali Julii. Wiedzieli oni o jéj miłości z Teodorem, wiedzieli o zalotach do bogatéj panny; nie jeden więc, ale kilku biegło do niego z wiadomością o zniknięciu dziewczyny, jakby z wyrzutem.

Teodor pierwszy raz w życiu usłyszał krzyk swego sumienia — przeszłość jak czarna zasłona unosiła się nad myślą jego, na któréj tle wszystkie zaklęcia i obietnice powtarzane Julii.

Zimny pot go oblał, i w téj chwili z łatwością rzuciłby cały swój majątek, byle cofnąć przeszłość, kazał sobie podać konia, przebiegał drogi i pola, wołając ją po imieniu — ale nadaremnie.

Już było nad ranem, kiedy kilko-godzinne znużenie i świeżość powietrza chłodziły jego skronie, a myśl refleksyjna gorącość uniesienia studziła, wracał zwolna do domu, i na raz ujrzał jakąś postać biegnącą aleją topoli; pospieszył za nią — była to Julia. Sama jedna idzie śmiało, spiesznie; jéj postać blada, chwiejąca, włos rozwiany, fałdzistą białą suknię i mantylę wiatr w biegu unosi, a księżyc pobladły kładzie za nią długie cienie i gnie jéj postać w dziwnie fantastyczne kształty. Lecz coraz słabsza opada na siłach — chwieje się, kolana się uginają. Nagle krzyknęła, wyciągnęła ramiona, i biegła jakby w objęcia, co ją do siebie przytulić miały. Na wzgórku stał krzyż i Julia upadła u stóp jego, złożyła skronie na zimnym kamieniu i leżała spokojnie.

Może usnęła na wieki? O pewnie! pewnie! lepiéjby tak było.

Teodor uwiązał konia i lekkim chodem zbliżył się do niéj. Pochylił się — oddychała, ujął ją za rękę — leżała nieporuszona. Zawołał więc cichym głosem: „Julio!“ Podniosła się nagle i usiadła, pół kibici naprzód przechyliła, i topiąc w nim szkliącą źrenicę powtarzała: „On mię nie kochał nigdy, on kłamał, on mię nawet pierwszemu lepszemu przy drodze dla swego interessu.......“

Teodor otoczył ją rękami i zawołał z rozpaczą:

„Julio! Julio! tom ja, Teodor. Tyś mię kochała, jam cię kochał, ja cię kocham.“ Ona długo wpatrywała się w niego obłąkanym wzrokiem, potém mierzyła go od stóp do głów, nie odpowiadając żadném słówkiem, ani uśmiechem. Po chwili położyła rękę na czole, jak gdyby sobie coś przypomnieć chciała, i na raz krzyk konwulsyjny, przeraźliwy, wypadł z jéj piersi. I wyrwała się z jego objęć wołając: „Zabiłeś mię! zabiłeś!“ A zbudzone echo powtarzało po trzykroć jéj długi przeciągły głos: zabiłeś mię! zabiłeś!

Teodor uderzony jakby piorunem odskoczył, załamał ręce i jęk rozpaczy wypadł z jego piersi. Po chwili pochwycił ją w pół kibici. Ona mu się nie opierała, lecz złożyła zbolałą głowę na jego ramieniu, a fałdy jéj odzienia i rozsiane włosy opasały wężem postać młodzieńca — i w téj chwili okropnie ściskały mu serce.

Teodor złożył ją w swoim saloniku na miękkiéj sofce.

X.

W cichych nurtach nie szerokiéj rzeki, przeglądają się piękne, obszerne budynki. Jak ściany jaśnieją białością wśród rozkosznych sadów i trawników, dachy wesoło się czerwienią po nad zielonemi szczytami drzew, a zatknięty złoty krzyż na kopulę kościoła, zdala wita przychodzących. Kiedy tu się stanie, wszystko miłe i swobodne dla oka. Ale cóż to za krzyki dzikie i zmieszane dolatują do uszu, cóż to za twarze blade wyglądają przez kraty okien, na każdéj spojrzenie, którego dusza błąka się gdzieś nie na naszym świecie. I znów jakieś wychudłe postacie wiją się wśród trawników — staną, obzierają się w około, i w dziwnych pląsach i skokach znikają z przed oczu. W takiém otoczeniu żyje Julia już oddawna. Stoi zawsze niema, nieruchoma, jakby już była pomnikiem na swoim grobie. A Teodor? Z początku gorączka, drzenie na przemiany, dręczyły jego ciało, przygniatały duszę, bo sumienie obrażone — ten anioł stróż człowieka — paliło go jakby ogniem potępienia we śnie i na jawie, wśród śmiechów i uciechy. W ciemności nocy Julia stała nad nim jak mara grobowa, w uśmiechu i spojrzeniu każdéj młodéj kobiety dojrzał obłąkanie, a głos: „zabiłeś mię! zabiłeś!“ zakończył każdy takt balowéj muzyki. Zmienia rodzaj zatrudnień, ucieka od miejsc przypomnień, rzuca się w wir zabaw; to się zatapia w dziełach ekonomii materyalnéj, w pismach finansowych — oblicza swój przyszły majątek, rozpamiętywa podziwienia i hołdy, jakiemi nieraz jego zimny rozum otaczano; uśmiechy i spojrzenia kobiece, co się nie raz ubiegały o jeden jego uśmiech, o jedno spojrzenie — tą razą wszystko na próżno, bo sumienie nie złożyło broni przed miłością własną.

Lecz daléj a daléj, czas zagładzał wrażenia, wyobraźnia zatracała żywość kolorów tego przerażającego obrazu. — Jednak w téj ciągłéj rozterce samego z sobą, lica mu wklęsły, czoło połamało się w jakieś tajemnicze hieroglify, a do ust i oczu przyrosł uśmiech gorzko-ironiczny, istny Mefistofelesa.

W kilka lat ożenił się z bogatą i ładną kobietą, i mówią, że jest spokojny, szczęśliwy!....

B. F.

Leszek Drugi.

Leszek, drugi Leszek,
Wrodził się w ojczaszka.
Skraść z zanadrza (1) mieszek, (2)
To dla niego fraszka.
Różne ma dowcipy,
Różne ma przebiegi, —
Że go nie podejdą,
Ani szelmy szpiegi.

Gdy po ojca zgonie
Szło o tron dziedziczny,
Siedzieć chciał na tronie,
Ten i ów mój śliczny.
Nawet szwabska rzesza
Zgłasza się natrętnie.
„Jeźliś godny bracie,
Tron ci damy chętnie!“

Ale tu niestety!
Trzeba pierw losować!
Pierwszym być u mety,
Aby wciąż przodkować!
Otoć tam już słupiec!
Na nim Orzeł biały! —
Daléj na wyścigi,
W cwał i na wycwały!

Pędzi Leszek Drugi,
Jeden brat i trzeci;
Niemców szereg długi,
Także wiatrem leci.
Ale cóż u Boga!?
Tyle koni pada!?
Leszek sam u mety!?
Ej, to jakaś zdrada!

Zdrada w saméj rzeczy!
Leszek zaś jest winny!
Zginąłby od mieczy,
Gdyby nie lud gminny!

Chłopek go od zemsty
Piersią swą zasłonił. —
„Podstęp tu zwyciężył!
Któż zaś wam go bronił?“

„Leszek jest chwatciejszy,
Niżli wiatr w swym pędzie!
On najprzebieglejszy!
On też królem będzie!
Naukrywał w piasku
Mnóstwo bron i kolców,
Sobie tór zachował,
I zostawił wol..... !“

„Ludzie z lepszą głową
Byliby wykryli,
I za wspólną zmową,
Zdrajcę zdradą zbili!
Leszek więc jest królem!
Któż się chłopkom oprze?
Jeźli głos za słaby,
To go... pięść ta poprze!“

„Lud ci wszystko może,
Skoro rozum w głowie.
Daje panom zboże,
Jęczy za ich zdrowie; —
By się pan mógł cieszyć,
Chłopek się biedoli;
Chłopek wojny kończy:
Słuchaj chłopka woli!“

Leszek więc aż rośnie,
Inni aż truchleją.
Bardzoć im żałośnie,
Minąć się z nadzieją. —
Leszek więc panował,
Nie najgorzéj rządził.
Jeźli zaś w czém zbłądził,
Pan Bóg go osądził.

Sierp Polaczek.

(1) Zanadrze, znaczy tyle co wyraz nieojczysty gors. W niektórych okolicach słyszałem także mówiących: za nadry schować (włożyć za gors).

(2) Mieszek, wyraz dawniéj używany zamiast: woreczek od pieniędzy, kieska, sakiewka.

Ojcem Leszka Drugiego miał być Przemysław Złotnik, dla chytrości i podstępów Lisem, Liskiem, Liszkiem, czyli Leszkiem nazwany, a w nadgrodę odniesionego pod Łysą górą, niby nad Rzymianami, zwycięstwa, królem wykrzyknięty.

Dobrodzieniak.

Podanie szląskie.

Za dawnych czasów, kiedy jeszcze towary wrocławskie przez Kraków do Brodów wożono, było w Dobrodzieniu (1) wielu furmanów, którzy do tych podróży i po czterdzieści koni trzymali. Jeden z tychże furmanów zostawszy w młodym jeszcze wieku wdowcem i mając jednę tylko córkę, ożenił się był powtórnie. Zaraz po weselu odjechał w świat na cały rok.

(1) Dobrodzień (Guttentag), miasteczko górnoszląskie w powiecie lublinieckim.

W powrocie zaś, kiedy już do domu się zbliżał, zaczął, podług swego zwyczaju, trzaskać z bicza na znak, żeby żona wyszła go witać. Gdy jéj nie było widać, nawrócił jeszcze raz, a trzaskał; ale żona nie wychodziła; — zajeżdżał jeszcze raz, alić tylko jego córka wyszła i opowiadała ojcu, że macocha źle się zachowuje, bo z załotnikami się bawi, a powrotu męża nie wyczekuje. Więc z wielkim gniewem furman wchodzi do izby i krzyczy na żonę i srodze ją łaje; a żona zapiera się wszystkiego i owszem powiada do męża te słowa: „Obaczysz ty jeszcze, jaką masz córuchnę; skoro drugi raz do domu wrócisz, pewnie ją z dzieciątkiem na ręku zastaniesz.“ Po niejakim czasie furman puścił się znowu w daleką drogę i dopiero po roku spodziewany był w domu. Tymczasem macocha poszła do swojéj ciotki, czarownicy, i wymogła na niéj, że pasierbicy coś takiego zadała, iż ta przed powrotem ojca w saméj rzeczy powiła syna. Za rok przyjechał ojciec i trzaskał z bicza dojeżdżając do domu; a na to hasło zaraz żona wyszła i powiadała mu, że córka jego przed trzema godzinami porodziła syna. Więc z wielkim gniewem furman wchodzi do izby i hałasuje na córkę, i każe jéj się natychmiast z domu wynosić. Córka chciała ojca prośbami ubłagać; ale gdy gniewu ojca nic zmiękczyć nie mogło, — patrzą, a tu wyskakuje nowo-narodzony chłopak z łóżka i jak wita tak wita staruszka swego, mówiąc: „Staruszku mój, jakoż wam się tam powodziło? witajcież do nas, a nie gniewajcie się na mnie i na moją matkę!“ — Skakał potém ów dzieciak po izbie, po ławach, po stole; ale staruszek na to nic nie uważając, kazał córce bez odwłoki z domu się zabierać, przykazując, żeby mu się już nigdy na oczy nie pokazywała. Córka też musiała się nareszcie z łóżka wynieść i swoje rzeczy zbierać, a dzieciak cieszył ją i kazał jéj dwa manatki związać, powiadając, że on jeden sam poniesie. Wziął tedy dzieciak swoje zawiniątko, a matka drugie, i tak wyszli z miasta. Nie daleko za miastem matka tak mocno zesłabła, że i drugie zawiniątko synek musiał dźwigać. Tak wiódł on matkę aż do Wiednia, gdzie książę Rakuskie panowało. A że właśnie wtedy srogi nieprzyjaciel wszedł był do tego kraju i owemu książęciu brakło wodza dla wojska, a młody wędrowiec rozgadywał po mieście, że gdyby jego wodzem zrobili, toby wnet nieprzyjaciół wypędził; więc też owo książę kazało go przyzwać i oddać mu dowództwo nad wszystkiemi swemi wojskami. Jakoż wędrowiec sprawił się, jak przyobiecał, bo w krótkim czasie nieprzyjaciela zwyciężył i z kraju precz wygnał. Od tego czasu i on i matka jego w wielkich byli dostatkach i łaskach u dworu. Ale miał ten książę syna, z którym się ów Dobrodzieniak namówił na wędrówkę. Przeszli już byli nie mało krajów, aż nareszcie młody książę chciał iść i do Syberyi, co mu towarzysz odradzał, powiadając, że tam ludźmi orzą, a nawet gorzéj jak z bydłem z nimi się obchodzą. Przecież książę się uparł na swojém i poszli jeszcze do onego kraju. Tam im się jednak źle powodziło, bo się w poimanie dostali i musieli ciężko pracować. Było tam oprócz nich przeszło dwustu innych więźniów z różnych krajów, których na noc do wielkiéj stajni zawierano. Raz gdy wszyscy stróże spali, rzekł Dobrodzieniak do więźniów, ażeby żaden rano nie wstawał, i że on za to odpowie, jeżeli im się co złego stanie. Gdy nadszedł czas do wstawania, a stróż przyszedł ich budzić, żaden więzień ani się ruszył; przyszedł stróż raz, drugi, trzeci, — zawsze nadaremno. Poszedł więc donieść o tém królowi, który kazał wystąpić wojsku, aby więźniów za karę przez rózgi przegnało. Stanęło wojsko, więźniów wywiedli, a Dobrodzieniaka naprzód prowadzono; — ale żaden wojak królewski ruszyć się nie mógł i więźnie przeszli nietknięci; na co król mocno się zatrwożył i nareszcie jął prosić wędrowca, że wszystkich wolno puści, byleby to uczynił, iżby jego wojsko znowu ożyło. Ten przystał na to, żołnierzy ocucił, a sam razem z wyzwolonymi więźniami w podróż się puścił. Król jednak markotny, posłał za nimi w pogoń jeszcze więcéj wojska, żeby ich zatrzymać. Lecz wędrowiec znowu to samo owym żołnierzom uczynił, że wszyscy na miejscu zdrętwieli; z czego król mocno zafrasowany, jął na nowo prosić wędrowca, że już wszystko mu da, czego będzie żądał, byleby to wojsko do życia przywrócił. Dobrodzieniak więc wymówił sobie dwa okręty pełne złota i srebra i drogich kamieni, a król też chętnie mu takowe podarował, — lecz ponieważ jeszcze przemyśliwał, jakimby sposobem wędrowca i jego towarzyszów zatrzymać; przeto Dobrodzie-

niak, przenikając jego zamiary, sprawił, że wszyscy mieszkańcy onego kraju w kamienie się przemienili, a ziemia ich skrzepła się na wieczne czasy. Tak więc bez przeszkody owi wędrowcy, pod przewodem Dobrodzieniaka i młodego książęcia, płynęli morzem na owych dwóch okrętach z niezmierném bogactwem ku domowi. Gdy byli na środku morza, młody książę dziękował za wybawienie swoje towarzyszowi, który mu na to oświadczył, iż za tę przysługę żąda tylko, ażeby młody książę wziął jego matkę za żonę, a że wszystkie skarby, które ze sobą wiezie, będą mu za wiano oddane; gdyby zaś temu się sprzeciwiał, będzie niebawem do głębokiego morza wrzucony. Książę więc rad nie rad przystał na żądanie towarzysza, i gdy już byli przyjechali do Wiednia, młody książę oświadczył ojcu, jakie zobowiązanie uczynił Dobrodzieniakowi za wybawienie swoje, na co stary książę téż chętnie dał przyzwolenie, i wyprawili sute wesele młodemu książęciu z matką Dobrodzieniaka, która była jeszcze i młoda i wcale urodna. Po weselu dopraszał się Dobrodzieniak u starego książęcia, aby mu z matką i nowym ojczymem pozwolił jechać do Dobrodzienia. Gdy przyjechali do Skrzydłowic, o milę od rodzinnego miasteczka, kazał Dobrodzieniak, żeby go do skrzynki zawarli, i tak zawieźli w dom jego staruszka; a stanąwszy tam, aby go ze skrzynką postawili na miejscu, gdzie się był urodził. Skoro zajechali do staruszka furmana i prosili o gospodę, przyjął ich chętnie i miał sobie owszem za wielką łaskę, że tacy panowie wstąpili do niego. Pytał go się téż książę, czy to nie ma dzieci? na co mu stary furman ze smutkiem się przyznał o córce swojéj, i narzekał mocno, że ją w gniewie od siebie oddalił, a teraz nie wie, kędyby jéj szukać. Nareszcie dała mu się poznać owa stracona córka w osobie dostojnéj księżny i cała rodzina była już wielce uszczęśliwiona, tylko brakło macochy, która właśnie wyszła była natenczas do ciotki swojéj czarownicy. Posłano tedy po nią, a skoro nadeszła i ciotkę ze sobą przywiodła, wyskoczył ze skrzynki mały Dobrodzieniak w takiéj postaci dziecięcia, jakby się dopiero urodził. I jak skakał, tak skakał, a staruszka witał, aż nagle pochwycił macochę swojéj matki i jéj ciotkę czarownicę, i pułapem z nimi wyleciał. Wszyscy z duszy wystraszeni, nie mogli z razu przyjść do rozumu, dopiero po trosze ochłonąwszy z trwogi, poczęli się krzyżem świętym żegnać i szeptać pomiędzy sobą o owém dziwném zjawisku złego ducha, którym nawiedziła ich czarownica, a który przecież niewinnéj rodzinie nic złego nie wyrządziwszy, porwał wreszcie do piekieł te tylko niecnoty, które go były sprowadziły na umartwienie poczciwych ludzi. Od tego czasu córka starego furmana szczęśliwie żyła ze swoim mężem, książęciem, i sędziwemu ojcu, za wszystkie troski życia, ostatnie lata stokrotnie uweselała (2).

Sermo Nuptialis copulae.

(Wyjątek z dawnego rękopisma.)

Jeżeli czym gruntownie śię żyćie stánowi ludzkie, tedy zaprawdę uprzeymą przyiaźnią

---

(2) O podobnych dzieciach dziwotwornych znachodzimy podania w kronikarzach naszych, i tak n. p. w wieku XIII w krakowskiéj ziemi urodził się chłopiec z zębami, mówiący zaraz po urodzeniu. Lecz stracił zęby i mówić przestał, skoro ochrzcony został. Żył wszakże lat trzy. Słyszano, jak sześciomiesięczne chłopięta przemawiały, jak szczygły świegocąc ostrzegały o napadzie Tatarów. (Ob. Maciejowskiego „Polska,“ t. I. str. 204.) Na Białéjrusi znów powiadają, że u jednego bogatego człowieka, syn jak tylko się urodził, siadł i silnym głosem zakrzyczał: „Dajcie mi jeść!“ przelękli się wszyscy, jednakowoż oderznęli mu pół bółki chleba i on to natychmiast zjadłszy, porwał się z miejsca i pobiegł do drzwi; tam stała kadź pełna wody; on wskoczył do kadzi i zanurzył się, rzucili się wszyscy ratować i wyciągnęli ztamtąd rybę, położyli ją na stole i długo patrząjąc na to, stali zadumieni; pobiegli do księdza, ten wraz przyjechał, i kiedy przeżegnał tę rybę, to się ona znów przemieniła w dziecię, ochrzcił go, i synek rosł dobrze, ale zawsze był zimny jak ryba. Starzy ludzie mówią, że kiedy prosił jeść, nie trzeba mu było dawać chleba, ale kamień, bo przez to bywa nieurodzaj i głód. I źle, kiedy wyrośnie zimny jak ryba, a broń Boże, jeżeli jeszcze będzie rozumny, wiele przyczyni biedy. (Obacz Jana Barszczewskiego: „Ślachcic Zawalnia,“ czyli: „Białoruś w fantastycznych opowiadaniach.“ Petersburg 1845., tomik II., str. 33.) Mamy i w pieśniach ludu podobny szczegół:

. . . .

Słowiczek śpiewa, a Kasia płacze,
Dla ciebie Jasiu, wianek swój tracę;
Pozbyłam wianka rucianego,
A nabyłam żyjącego. —

Wjeżdża braciszek w podwóreczko,
Wtém zapłakało dziecią̨teczko,

Przyiaćielá dobrego. Y bespiecznie to rzekę, że nieták dźwiga marmorowy fundament budynku wielkiego, nie tak wspiera potężny filar domu ruiną grożącego, nie tak kotew rzucona okrętu zatrzymawa pod czás nawalney fale w nawalnośćiach morskich, iáko w żyćiu ludzkim tego wszystkiego dokazuie szczyro-serdeczna przyiaźń Przyiaćielá wiernego.

Jeśli pomyślę o ozdobie iákiey ná świećie, ozdobą przednią człowieká káżdego znayduię Przyiaćielá. Y nietak pięknie niebu z krásnymi planetami, nie tak złotemu pierśćionowi z dyamentem, nie tak drzewu wspaniałemu z chłodnym ćieniem, nie tak liliey pozorney z przyiemną barwą, nie tak balsamowi z wdźięczną wonią, iáko człekowi z Przyiaćielem.

Jeśli też iáka potrzebá w żyćiu ludzkim, nic potrzebnieyszego człowiekowi nad Przyiaćiela. Y rychleyby śię świàt mogł obeyść bez słońcá, rychley źiemia bez wilgotnośći, ptak bez powietrzá, rybá bez wody, niżeli człek bez Przyiaćielá: Odeymiesz ludźiom przyiaźń przyiaćielską, iákbyś świátu świecące zagaśił słońce.

Możeli też być iáka poćiecha? nic ućiesznieyszego nad Przyiaćielá. On z weselącym śię uweseli, z płaczącym zapłaknie, przygody pożałuie, w chorobie ustęknie, w frasunkn poćieszy, gorzki piołun w słodki odmieni confekt.

Z tąd nie od rzeczy napisał Cicero, że áni ogniá, áni wody, áni pary nam tak często nietrzeba iáko Przyiaćioł. Dobrze y Xenophon powiedźiał, że Przyiaćiel iest to pożądane imię, ućieczką przed nieszczęśćiem, stateczne y trwałe odpoczynienie, y taka poćiecha, ktora godna iest, aby iey sobie iedynie życzyli ludźie. Lecz niech kto chce iák chce zaleca affekt przyiaćielski, ia to powiem co Sirach: Przyiaćielowi wiernemu niemasz porownánia, y niemasz wagi zacnośći iego. Przyiaćiel wierny iest obrona mocna, á kto go znalazł, skarb znalazł. Przyiaćiel wierny iest lekarstwem żywotá, a ktorzy śię boią Páná, znayduią go.

Kogoby takim mianować y pokazać Przyiaćielem, zaprawdę niewiem. Zadano tę gadkę kiedaś Philosophowi: Quis sit optimus amicus, *R.* Alter ego. Za takiego Przyiaćielá ia kładę poczćiwą, bogoboyną y roztropną Małżonkę, nabytą przes przystoine wstąpienie w stan święty Małżeński.

Żona poczćiwa naybliższy to Przyiaćiel Mężowi, z ktorym śię iednym ćiałem stawa, tak że rzec może, co Adam o Ewie, że to kość z kośći moich, ćiało z ćiała mego.

Tenći to Przyiaćiel, ktorym Bog szafuie. Dom y maiętność dźiedźictwem przypada po rodzicach, ale żona rostropna iest od Páná. Śmierć y żoná od Boga naznaczona.

Tenći to Przyiaćiel, ktory ubłogosławia. Błogosławiony to mąż, ktory ma żonę dobrą, bo liczba dni iego we dwojnasob przedłużona będźie.

Tenći to Przyiaćiel, ktory iest pomocą mężowi. Kto ma żonę dobrą, ma połowicę gospodarstwá, ma pomoc według śiebie, y śiła odpoczynienia. Tenći to Przyiaćiel dożywotni przyśięgą obowiązany, z ktorym związku śmierć tylko rozerwać, rydel á motyká rozćiąć może. Tenći to Przyiaćiel, bez ktorego źle, iáko to dobrze Bog upatrzył przy Adamie, przeto mowi: Nie dobrze być człowiekowi samemu, uczynie mu pomoc, ktoraby była przy nim. Tenći to iest, o ktorym Poëta spiewa:

Może kto ręką sławy dostać w boiu,
Może wymową y rządem w pokoiu.
Lecz ieśli żona męża nie ozdobi,
Mąż prozno robi.
Żona uczćiwa ozdoba mężowi,
Y napewnieysza podporá domowi,
Na niey rząd wszytek, swego męża ona
Głowy koroná.
Ona mężowym kłopotom zabiega,
Y iego wczasu na wszystkim przestrzega,
Ona wywabić troskę umie z głowy,
Słotkimi słowy.
Trzykroć szczęśliwy, ktoremu ty zdarzysz,
Ten związek Panie, ale zły towarzysz,
Odeymie wszytko, że troski w puł wieka,
Zgryzą człowieka.

Nie dźiw, że wiele ich o takiego Przyiaćielá śię staraiąc, gorliwie śię Panu Bogu modlili, iáko Isaak o Rebekę. Że wielkie odwagi czynili, iáko Dawid, ktory dla Michele z Goliathem poiedynkował. Że śię długo wysłu-

— Czyje to dziecię, siostro, płacze? —
— Méj sąsiadeczki, panie bracie;
Sąsiadeczka mnie prosiła,
Bym jéj dziecię ponosiła.
— Podaj mi chłopcze teń ostry miecz,
Co zetnę siostrze swéj główkę precz.
Ale dzieciątko, choć niemowlę było,
Tak do wujaszka swego przemówiło:
„Któż mnie, wujaszku, teraz przytuli?
Gdy dzwony grają już méj matuli?
Twoja, wujaszku, żona jeszcze chodzi,
Mnie się matula więcéj nie urodzi.“

(Obacz Wojcicki: „Pieśni ludu Biało-Chrobatów, Mazurów i t. d.“ t. I., str. 64.)

gowali, iáko Jakob dla Rachele lat 14, a czas mu śię zdał krotki. Źe zdrowie odważali, iáko Tobiasz dla Sary, przy ktorey siedm mężów iuż był dyabeł zaduśił, a on śię przecie o nię pokuśił. Takći dla Przyiaćielá wszytkie fatygy zdadzą śię bankietem, wszytkie zwłoki zdadzą śię czasem krotkim, iáko Iakubowi dla Rachele, wszytkie poty zdadzą śię ochłodą.

Takim Przyiaćielem, y tak szczyrodobrym obsyła P. Bog, WM. natenczas Mości Panie młody, kiedyć iák obraz swoy nadobny cery JeyMość za małżonkę daie. Daie iáko iednę latorośl z wielu drzew, iak iednę lilią z wielu źioł, iak iedyny klenot skarbnice. Daieć mowię połowę sercá maćierzyńskiego, źrzenicę oka pochmurnego, podporę bokow swoich zgrzybiałośćią natruchlałych.

A żeby iuż w Imieniu Pańskim Act ten ś. małżeństwá skutek swoy wźiąć mógł, Pytam etc.

Do Czech.

Z Córy Sławy [Slawy Dieva] Jana Kollara.

Gak te wjtat, slžau cili zpewem?

Jakże cię witać? łzami, czyli śpiewem?
Macochy imię, czy matki dać ci?
O ziemio! pełna i hańby i czci,
Pamiętna bogów łaskami i gniewem.

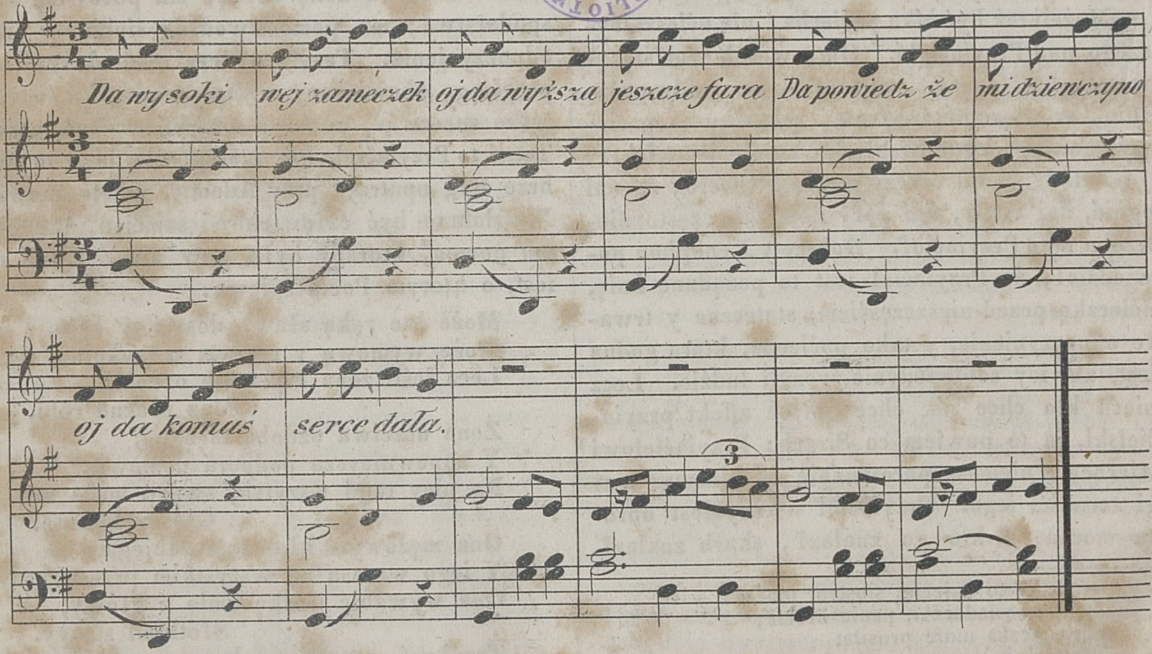
Dwory twe gadów i puszczyków dworcem,
Kraj poszedł obcéj niemowie na łup;
Lew silny twojém znamieniem — lecz trup
Bezwładny dysze pod jego proporcem. —

O cieczcie gorzkie łzy me ku Wełtawie!
Jako dżdże niebios, jak niebios płomienie —
Ponieście hasło braci mojéj w Sławie:

Skończcie raz rozterk, który grób wam wyrył;
Dawnéj was chwały niech natchnie wspomnienie —
Z was wstał Hus, Jan z Nepomuk i Cyrył.

R

No 176. *Willanów pod Warszawą.*



Text do *Nru. 176.*

Da wysoki wej zameczek, oj da jeszcze wyższa fara.
Da powiedzże mi dziewczyno, oj da komuś serce dała.
Nie dałam go żołnierzowi, nie dałam kawalerowi,
Oddałam go chłopakowi, oj tobie poganinowi.
Da pocóżeś tu przyjechał. — Da pocóżeś mi kazała,
Oj da bom malutka była — oj bom rozumu nie miała.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)